

JAK to jednak telewizja rozszerza horyzonty! Dzięki niej przecież poznaliśmy bliżej „maszynę do wykrywania przestępców”. Obie serie telewizyjnego filmu produkcji NRD „Mord w Guleway” zawierały — prócz pasjonującej akcji, wiele tego typu ciekawostek — jak właśnie wspomniana maszyna czy atrakcyjna „inscenizacja zbrodni”. Ubiegłotygodniowy program filmowy nie był jednak w rumie zbyt bogaty — aczkolwiek „Serenada w Dolinie Słońca” zgromadziła na pewno przed odbiorcami wielu widzów pamiętających rewelacyjną lustrówkę, Sonie Henje i zresztą „dużego ekranu”. Szkoda właśnie natomiast, że zniknął już z programu dr Kildare — pozostał tylko nie zamierzony być może dowcip, kiedy to bohater „Serenady” przewrócił się na śniegu wola w pewnym momencie: „Zawbijcie doktora Kildare’a!”

Wiele miejsca zajęły w ubiegłym tygodniu programy poświęcone 20 rocznicy wyzwolenia stolicy. Nie w każdym jednak przypadku ich redaktorzy opierali się na najszerzej szerszych pomysłach. Zdecydowa-

niej Feliksa Mendelssohna. Jak się wydaje, szczęśliwie dobrano zarówno teksty poetyckie jak i oprawę muzyczną, dobrze je montowano i ciekawie inscenizowano całość.

Niejednokrotnie zdarzało się Telewizji, że odtoczyła premierę teatralną, a zamiast niej prezentowano powtórzenie z telerecordingu. Z tym większą przyjemnością — po raz pierwszy chyba — możemy odnotować zrealizowane zupełnie odwołanie. Oto zamiast zapowiadzanego powtórzenia farsy pt. „Dudek” obejrzelismy w poniedziałek nową premierę Teatru Telewizji — a mianowicie „Wielkie przesłuchanie” Bernarda Shawa.

Mistrzostwo „Wielkiego kpiarza” w prowadzeniu dialogów, konstruowaniu akcji, pełnowartościowej sytuacji znakomicie wykazały kamery telewizyjne. Właśnie tutaj ekran widniwy specyficzne telewizyjnej inscenizacji i telewizyjnego odbioru, kapitalnie podkreśla wspaniałą warsztat dramatyczny angielskiego komediopisarza. Spektakl dostarczył nam zatem wiele satysfakcji intelektualnej — był świetnie sagrany przez Zbigniewa Szepietowicza (Napoc

Tydzień na małym ekranie

Mało filmów, sporo teatrów

nym nieporozumieniem była np. „Estrada Rostycka” w której przeplatano wiersze poświęcone Warszawie z historycznymi danymi, komunikatami, wiadomościami z owych dni. Była to audycja nieudana właśnie dlatego, że suchy komunikat, przypomnienie dokumentalnych faktów kłóciło się z paletycznym i deklaratywnym sposobem podawania tekstów poetyckich. Reżyser ustawił wykonawców w sposób sztuczny i melodramatyczny, kazał im recytować łamiącym się głosem i wpatrywać się w jakiś jeden tajemniczy punkt poza ekranem. Ten sposób recytacji już bardzo dawno zarzucono w nowoczesnym teatrze poezji. Kamera telewizyjna podkreślała jedynie jego sztuczność i wszelkie niedostatków montażu. Na dobitkę aktorzy momentami mylili tekst.

O ile bardziej przemawia do przeciętnej odbiorcy program oparty o bogatą ilustrację filmową, dokumenty i porznięte sucha, lecz także wymowna relacja. Taki właśnie program poświęcony Warszawie oglądaliśmy w niedzielę z dużą satysfakcją, aczkolwiek nie był się on na „pseudopoetyzowanie”.

Poezja i muzyka mają pełną prawo obywatelstwa właśnie na małym ekranie. Oglądamy sporo tego typu programów — z zainteresowaniem usiedliśmy przed telewizorami, by obejrzieć nadawany z Łodzi koncert poetycko-muzyczny „Sen nocy

leon), Józefa Łotysza (porucznik) i Zygmunta Kestowicza (oberżysta). Bez przesady — były to prawdziwe majsterzki artystyczne. Natomiast nie dorównywała im bohaterka spektaklu, Ewa Berger-Jankowska. Zdziwienie pamiętają ten sam spektakl na jednej ze scen łódzkich z Elżbietą Barszczewską w głównej roli. Porównanie obu przedstawień daje nam dopiero świadomość tego, co może z tekstu „wyciągnąć” prawdziwie wielka artystka.

Elżbieta Barszczewska miała w ubiegłym tygodniu w sztuce Szaniawskiego „Most”. Warto podkreślić, że było to jedno z najlepszych przeniesień teatralnych — w rzeczywistości nie przuśmy prawie tego, że spektakl przygotowany był pierwotnie na scenę teatru. Należy sądzić, że „Most” podobał się publiczności — piękna i bogata kreacja stworzyła w nim Barszczewska znakomitą rolę Marii Wyrzykowskiej. Szkoda, że słabiej wypadła postać Andrzeja kreowana przez Andrzeja Szczepkowskiego. Szczepkowski był deklaratywny i sztuczny, a ponadto obciążał tekst, co powodowało zredne dłużyzny.

Na zakończenie — słowo o urodzaju „Ojciec debiutantki”. Widowisko przyjemne i pomysłowo inscenizowane z dobrą rolą Igora Smiałowskiego — ale nie da się ukryć, że była to jednak stara i mocno zarzęwiała ramotka...

ALINA GRABOWSKA